

Kazimierz Odyniec

ul. Chrobrego 18.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Ojciec mój był przed wojną podoficerem zawodowym. Początkowo mieszkaliśmy w Modlinie pod Warszawą. Ojciec pracował tam w "Cewosapie" to jest Centrum Wyszkolenia Saperów. W Modlinie się urodziłem w roku 1929-tym. Można więc powiedzieć, że jestem urodzonym wojakiem.

W 1954-tym roku ojca przeniesiono do Hoszczy. Jest to miejscowość położona na Wołyniu koło Równego. Dokładnie Hoszcza leży mniej więcej w połowie odległości między Równem a Korcem. W Korcu przebiegała granica polsko - radziecka i ojciec służył w KOP-ie /Korpusie Obrony Pogranicza/ w trzecim batalionie KOP Hoszcza. Po prostu pilnował wschodniej granicy. Jako saper zajmował się szkoleniem saperów, którzy trafiali na roczny staż z Centrum Szkolenia Saperów w Modlinie do Hoszczy. Tam, w KOP-ie oni byli praktycznie szkoleni.

Mieszkaliśmy w miasteczku, a właściwie w osadzie Hoszcza. Liczyła ona około trzy tysiące mieszkańców. W przeważającej części byli to Ukraińcy i Żydzi. Nas Polaków była niewielka garstka, związanych przeważnie z zadaniami wojskowymi. Bo tu była siedziba trzeciego batalionu "KOP Hoszcza".

Kiedy Hitler zarządził korytarze od Polski, w marcu 1939-go roku ojca kompania została przeniesiona do Borów Tucholskich. Tam też spotkałem się z ojcem tuż przed wybuchem wojny - 25-go sierpnia. Ojciec już wtedy przeczuwał, że wisi w powietrzu gróźba wojny, ataku na Polskę. Wieczorami słychać było odgłosy uruchamianych silników czołgów.

Wyjechaliśmy z powrotem, żeby uciec jak najdalej z tego miejsca spodziewanego ataku. Wróciliśmy do Hoszczy. Ojciec oczy-

wiście pozostał w Borach Tucholskich.

Trzeciego września ojciec został ranny. Kompania ojca otrzymała rozkaz wysadzenia w powietrze pociągu pancernego, który przedarł się z Gdańska do Bydgoszczy właśnie trzeciego września. I tam, kiedy ojciec jechał na inspekcję w przyczepie motocyklowej, trafił na nalot lotniczy. Pilot myśliwca oddał serię z karabinu maszynowego zabijając kierowcę. Ojciec miał przeszelone prawe płuco, a ponadto motocykl uderzył w słup telegraficzny, na skutek czego ojciec miał pękniętą podstawę czaszki. W bardzo ciężkim stanie został etapowo ewakuowany do Warszawy. Tu był już stan oblężenia i ojca nie przyjęto. Ojciec dostał się do szpitala polowego w Brodach. Tam, siedemnastego września dostał się do niewoli rosyjskiej.

Skierowano go do Krzywego Rogu. Nota bene, gdy noszanie weszli siedemnastego września, pozostawłość tego trzeciego <sup>aj</sup> batalionu w Hoszczy została odtransportowana do Starobieleśka. To ci, którzy są teraz odkopywani - zwłaszcza oficerowie - pochodzili z tych terenów.

Ojciec był w Krzywym Rogu. Tam, jako niemiędzy, cy się do leczenia obozowego został zwolniony. A ponieważ był podoficerem i ponieważ mieszkał na terenie Zachodniej Ukrainy - bo tak te tereny wówczas nazywano - ojciec z porucznikiem, którego nawiąka już teraz nie pamiętam, pochodził z Częstochowy - na przełomie listopada i grudnia wrócił piechotą z Krzywego Rogu. A był przecież ciężko ranny.

Na miejscu okazało się, że nasz gospodarz, Humeniuk, Ukrainiec jest komendantem miejscowej milicji. On powiedział od razu: panie Odyniec, ja wiem, że jest pan porządnym człowiekiem, to ja nie będę się do pana czeptał. Granicę, którą pan pilnował, ja prze-

kraczałem przynajmniej dwa razy w miesiącu. Stamtąd, że strony rosyjskiej przynosiliśmy broń. A tu, gdzie była pańska drewnia /skład drzewa/ był magazyn naszej broni. Nie wiem, jak długo będę komendantem. Radzę panu, aby pan stąd uciekał. Wiem, że pochodzi pan z terenów Białostockich, które są już zajęte przez Rosjan.

I tak zrobiliśmy. Humeniuk pomógł nam zdobyć tabory. Jechaliśmy z żoną innego wojskowego, pana Pfulgrada, który był w Starobielisku. Był on plutonowym w trzeciej kompanii piechoty. Ojciec był w drugiej kompanii saperów. Oba byli w tym samym batalionie KOP-u. Przy okazji: później tego pana spotkałem. Było to w Rosji, kiedy przejeżdżał z Buzukuku do Jangjulu, obścując nas później zabrać za granicę. Później się już z nim nie widziałem. Okazało się później, że w 1950-tym roku wrócił on do Polski. Nie nawiązał z nami kontaktu.

Ojciec postanowił, razem z żoną tego pana i naszą rodziną oczywiście - wyjechać na tereny byłego powiatu Łomżyńskiego. Z Jedwabnego bowiem pochodziła rodzina i ojca imatki. Jedwabne leżało w powiecie Łomżyńskim.

I tutaj zaczyna się cała historia okupacji rosyjskiej. Ojciec był znany na tym terenie. Raz dlatego, że był podoficerem, starszy sierżant to była nielada szarża. Jak na warunki przedwojenne obecność wojskowego to było coś takiego, jak ksiądz w rodzinie. Była to bądź co bądź jakaś nobilitacja. Stąd ojciec był znany. Ojciec umówił się z tym porucznikiem, z którym wracał z Krzywego Rogu, że na przełomie stycznia i grudnia spotkają się na granicy rumuńskiej, żeby próbować przedostać się do Francji. Chodziło o dostanie się do wojska gen Sikorskiego. I rzeczywiście. Ojciec przed świętami, gdzieś tak około dwudziest

tego pożegnał się z nami. Ja wówczas zawiązałem ojcu na szyję srebrny łańcuszek ze złotym krzyżykiem. Był to łańcuszek, który dostałem z okazji urodzin od ojca. Zakładając go ojcu na szyję powiedziałem: tatusiu, proszę go nie zgubić, bo będzie źle. Mówiłem "będzie źle" w tym sensie, że byłem bardzo przywiązany do tego krzyżyka.

Jak przyszłość wykazała, była to moja wyrocznia. Właśnie w przeddzień śmierci ojciec zgubił ten krzyżyk. Był wówczas w oddziale partyzanckim, na grądzie Kobelno, bagno Lesk. Tam była leśniczówka i tam był sztab zgrupowania.

W przeddzień śmierci - to było we czwartek - ojciec zgubił ten krzyżyk i powiedział do kolegów: chłopcy szukajcie, bo syn powiedział, że będzie źle. Rzeczywiście, następnego dnia doszło do likwidacji tego zgrupowania. Użyto w tym celu oddziałów wojsk radzieckich. Ojciec zginął. Był to 21 czerwca 1940-go r.

Po południu wracały przez Jedwabne trzy drabiniaste wozy, które były wypełnione trupami. Włoki na furmankach były przykryte kwitjącymi gałęziami kasztanów. Bo w tym czasie akurat kwitły kasztany. Widziałem wystające spod gałęzi kasztanów saperki, buty z charakterystycznie nabitymi gwoździami. Nie jest wykluczone, że to był ojciec.

Trupy zawieszono na posterunek żilicji i o godzinie trzeciej, czwartej nad ranem - bo myśmy czuwali wszyscy - ulicą obok naszego miejsca zamieszkania ponownie przejechały te trzy furmanki i Żyd miejscowy, który był milicjantem. Wstąpił do wujka po łopatę. Obserwowaliśmy z ogrodu, skąd było widać cmentarz. Furmanki poszły wzdłuż cmentarza. Natomiast Żyd przeskoczył przez parkan na stronę cmentarza.

Po jakichś dwóch - trzech godzinach wozy wracały puste.

Poszliśmy szukać śladów. Ani na cmentarzu ani w zagajniku, niewielkim lesku obok cmentarza nie znaleźliśmy żadnych śladów świeżej ziemi. Do dzisiaj miejsce pochówku tych ludzi - a zginęło z tego zgrupowania sześciu - piętnastu Rosjan podobno było zabitych, ale Rosjan to <sup>mi</sup> ~~oni~~ mogli gdzie indziej wywieźć, natomiast Polaków mogli zakopać w okolicy cmentarza czy na samym cmentarzu.

Mówię z pewnym wyprzedzeniem o faktach, które zaistniały w czerwcu 1940-go roku. Ale zanim doszło do śmierci ojca, to coś się na tym terenie działo.

Ojciec, jak powiedziałem, odchodząc na granicę rumuńską, o-trzymał ode mnie kańczuszek i krzyżyk. Pożegnał się z nami o po-jechał. Po drodze zjechał do Tykocina, gdzie mieszkał jego brat. Chciał pożegnać się z bratem. To było przed Bożym Narodzeniem. Tam, w Tykocinie, zachorował. Dostał "zastrzału" czyli ropowicy palca. Ponieważ bał się jechać w takim, niepełnosprawnym stanie, został u brata w Tykocinie przez dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach przyszedł do Białegostoku i miał jechać dalej. I tutaj, koło teatru Węgierki ojca przechwycił patrol NKWD.

Zapytali o dokumenty. Ojciec pokazał zwolnienie z obozu. Oni chcieli to zwolnienie wziąć do rąk. Ojciec jednak nie pozwolił na to i odpowiedział po rosyjsku, że ten dokument należy do niego i służy do okazywania, a nie do wręczenia innym do rąk. A skąd ty tak dobrze znasz język rosyjski? zainteresowali się nieoczekiwanie. Pójdziemy na NKWD.

NKWD wówczas mieściło się w Białymstoku przy ulicy Mickiewicza dokładnie w tym budynku, gdzie teraz znajduje się sąd Apelacyjny. Tam później mieściło się też i "UE". To taki słynny budynek. Kiedy tak ojca tam prowadzili, ojciec podjął udaną próbę

ucieczki. NKWD-yści próbowali go gonić, zaczęli nawet strzelać. Ale ojciec przysnął między ludźmi i uciekł. Po tym zajściu bał się iść na dworzec, aby udać się w dalszą podróż. Obawiał się obławy i wrócił z powrotem do Jedwabnego. Tak więc nie udało się ojcu trafić na umówione spotkanie na granicy.

Teraz zaczyna się coś dziać niewyraźnego z ojcem. Do ojca zaczęli przychodzić jacyś panowie. Do nas dzieci mówiono: idźcie dzieci pobawić się na podwórko, a my tu z panami sobie porozmawiamy. Tak było raz, drugi, trzeci. Jakiś pan pewnego razu przyniósł duży kosz do kopania kartofli. W koszu była sieczka a w sieczce były jajka. Po takiej kilkugodzinnej rozmowie w koszu na dnie pozostaje trochę sieczki i trochę jajek i chłop wychodzi. Jak pamiętam, był to wysoki, barczysty mężczyzna. Pomyślałem sobie: skoro są jajka, to sobie zrobię "kogel - mogel". Zacząłem szperać po szufladach i szafkach, ale nigdzie jajek nie znalazłem. Dopiero po tem się okazało, że to w ten sposób przynoszono ojcu broń do czyszczenia. Ojciec broń czyścił, którą następnie transportowano dalej, do zgrupowania.

Dopiero po latach znalazłem tekst przysięgi - oryginał - złożonej przez ojca trzeciego marca 1940-go roku, gdzie tak pisze: "Bóg i Ojczyzna.

Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, że ze wszystkich sił swoich tępił będę wszystko i tych którzy są wrogami naszej niepodległości / tu następuje fragment nieczytelny / otrzymane polecenia wykonam sprawnie i dokładnie, postępować będę jak mężny patriota i Polak, choć miałbym uarzęd dla Polski.

Tak mi dopomóż Bóg i Ty Maryjo, Bogiem Szawłona Dębicko, Królowo Korony Polskiej."

wie wiedziałem, że ojciec miał pseudonim "Lis". Ale widząc charakter pisma nie mam wątpliwości, że to dotyczy ojca.

Poniżej następowały przypomnienia:

1. Mało mów. Dużo patrz i słuchaj. Tajemnicy strzeż. Nie wzywaj naawisk w rozmowie z innymi.
2. Wykonuj więcej niż należy, staraj się o broń dla siebie i bliźnich.
3. Bądź cierpliwym - tu tekst nieczytelny, nie wydaj innych. Pamiętaj - znówu część nieczytelna, aby ratować - dalej nieczytelne.

Jest to oryginalny tekst, który przypadkowo został znaleziony w stodole mego wujka, u którego mieszkaliśmy. To było zamknięte w sęku. Gdy w sześćdziesiątych latach wujek tę stodołę rozbił i pilował elementy budynku na żaski opał, z sęka wypadł ten właśnie tekst.

Na trzy dni przed swoją śmiercią ojciec widział się z matką, a właściwie to matka widziała się z ojcem, bo to matka zainicjowała to spotkanie. Ojciec nie wiedział, że ktoś to przygotowuje. Ojciec powiedział, że ma zakopane dokumenty, które mogą matce się przydać w przyszłości. Tych dokumentów nie znaleźliśmy, chociaż szukaliśmy powojnie, w 1946-tym roku. Prawdopodobnie szukaliśmy za płytko albo szukaliśmy źle.

Co dalej działo się z ojcem? Trzydziestego kwietnia 1940-go roku przysłał ojca aresztować. Ojciec akurat wrócił od swojej siostry. U niej przerabiał sandały mojej starszej siostry na mnie. Mój ojciec przed pójściem do wojska był murarzem i wiele rzeczy umiał. W momencie, kiedy skończył przerabiać te sandały, wszedł Żyd i NKWD-ysta i zapytał: adyniec Anton zdiec żywiot? /czy Antoni Odyniec tu mieszka?/. Tak. Niech pan się zgłosi na NKWD.

Był przy tym wyjął listę, na której było kilkanaście nazwisk. A to było - powtarzam - trzydziestego lub dwudziestego świętego kwietnia, a więc tuż przed świętem pierwszego maja. Oni bardzo często robili takie masowe łapanki zwłaszcza mężczyzn, żeby nie doszło do jakichś rozruchów z okazji święta pierwszego maja i czerwonego listopada.

Ojciec poprosił mamę, żeby poszła śledzić tego milicjanta, czy on poszedł jeszcze po kogoś. Gdy mama poszła za nim, ojciec pożegnał się z nami i nam powiedział: gdy mamusia wróci to powiedzcie jej, że ja poszedłem.

Kiedy po pół godzinie czy godzinie matka wróciła i dowiedziała się, że ojciec wyszedł, zaczęła lamentować: jak to? Wojskowy sam, dobrowolnie oddał się w ręce rosyjskie? To niewiarogodne. Pobiegła do jednego brata ojca, do drugiego. Poszła do siostry ojca: jednej i drugiej i pytała: był Antos? Nie, nie było. Mama lamentowała: o mój Boże kochany, poszedł do NKWD.

Ale następnego dnia o czwartej rano ktoś bębni w drzwi. Mamusia myślała, że to po prostu ojciec wraca. Idąc do drzwi powiedziała: zaraz Antos, otworzę. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła w progu trzech mundurowych NKWD-ystów:

- 'Job twoja mat' - gdzie twój mąż,
- u was w podвале /u was w piwnicy/-odpowiedziała mama
- nie, on miał u nas w podвале, ale go nie ma. Nu dawaj.

I aresztowali matkę. Ponieważ moja mama już w Rosji była i budowała zręby socjalizmu w siedemnastym roku /była w Moskwie od roku 1914-go do 1921-go, na fali przesiedleńczej przed nadchodzącym frontem rosyjsko - niemieckim/, toteż znała to od podszewki. Kiedy więc jakiś młody oficer zaczął do mamy rzucać "wiązanki", to mama przypominała mu, że chyba nie Lenin go tego



uczył, bo chyba należy jakoś inaczej się zwracać.

Mama przesiadziała na NKWD dwadzieścia osiem godzin i została zwolniona. Ale już teraz mama nie miała wątpliwości, że ojca u nich naprawdę nie ma. Wiedziała, że nie jest aresztowany i że po prostu przysnął. Potem, przypadkowo się dowiedziała, że jest w partyzantce w tym zgrupowaniu. O tym zgrupowaniu u nas mówiło się "za rzeką".

Jak już mówiłem, mama spotkała się z ojcem. Ojciec dał matce ostatnie polecenia, kogo ma kształcić, gdzie i jak i ślad po ojcu zginął.

Konspiracyjny kontakt był jednak utrzymany. Bywało, że na jarmarku na przykład ktoś podchodził do mamy i mówił: proszę nie pytać kim jestem - Biały Orzeł żyje.

Do niedawna sądziłem, że "Biały Orzeł" był pseudonimem ojca albo nazwa organizacji. Ale to chyba się nie potwierdziło. To jeszcze nie był ZWZ, ale załączki, z których powstał Związek Walki Zbrojnej.

Jest czerwiec 1940-go roku. W tym czasie dokonały się już dwie wywózki. Pierwsza z nich nastąpiła dziesiątego lutego. O tej wywoźce wiedzieliśmy mniej. Wywożono przede wszystkim leśników. Dlaczego akurat leśników? Chodziło o to, aby tworzącą się akurat partyzantkę pozbawić przewodników. Bo ci ludzie znali doskonale lasy. To była przeważnie biedna warstwa na naszych terenach. Ale też oni i najgorzej trafili. Bo dziesiątego lutego to była akurat ta słynna ze straszliwych mrozów zima. W Polsce mrozy dochodziły do czterdziestu stopni, kiedy ich wywożono. Wywożono ich przeważnie w okolice archangielska oraz na Daleki Wschód. To była najgorsza wywózka.

Drugą wywózką była czternastego kwietnia i ojciec był jesz-

cze z nami. Wszyscy zostali uprzedzeni, że mogą nas wywieźć. Wiedzieliśmy, że będzie wywózka. Po prostu działaliśmy już w ramach tej organizacji, z której później powstała ZWZ. Nas uprzedzono: dzisiaj będzie wywózka, nie śpijcie w domu.

Trzynastego kwietnia nasi w domu nie spali. Ale bolszewicy nie przyszli. Ale trzydziestego kwietnia - jak mówiłem - przyszli aresztować ojca. Ale ojciec uciekł.

Aresztowania trwały. Aresztowany został i przebywał na miejscowym posterunku milicji kapitan czy porucznik Burski, który mnie uczył śpiewu w szkole w Jedwabnem. A on był przedwojennym oficerem. On został aresztowany i w czasie przewożenia kibitką czy - jak się wówczas mówiło - "czatnym woronem" - wieziono go do Łomży - odbito go. On wrócił do oddziału partyzanckiego i był dowódcą tego zgrupowania, w którym był mój ojciec.

Po bitwie w czerwcu 1940-go roku, kiedy to zginął mój ojciec, był jeszcze trzeci rzut, w którym wywożono Żydów, którzy przekroczyli granicę od strony okupacji niemieckiej. Ale na terenie Łomżyńskiego to nie wystąpiło, bo tu nie było takich Żydów. Taką wymianę odbyła się za wiedzą obu stron: Niemców i Rosjan i chyba na podstawie wspólnych ustaleń. Bowiem w lutym 1940 odbyła się tajna narada gestapo i NKWD w Zakopanem, gdzie postanowiono, że obie policje będą współdziałać w zwalczaniu polskiego ruchu oporu.

Tak więc ta trzecia wywózka odbyła się w czerwcu 1940-go roku oraz likwidacja zgrupowania na bagnach także w czerwcu tegoż właśnie roku.

4 marca czy może w kwietniu 1941-go roku przyszedł do nas oficer rosyjski. Przyszedł sam. Pytał, co u nas słychać, gdzie jest wasz mąż. Mama odpowiedziała, że przecież go aresztowaliście rok

tamu. Oficer odpowiedział: nie, myśmy mieli go aresztować, ale on uciekł. Taka rozmowa trwała kilkanaście minut. Sądzę, że Rosjanie nie wiedzieli, że ojciec nie żyje, a ta wizyta miała chyba jakiś inny cel.

W dwa tygodnie po tej rozmowie ten porucznik zginął. Jechał konno przez las, kilkanaście kilometrów od nas, w pobliżu miejscowości chyba Olszewo i ktoś go tam zastrzelił. Pamiętam, jak z honorami wojskowymi był chowany. Pamiętam, że jego zwłoki były wystawione w ówczesnym klubie, który przed wojną był domem katolickim w Jedwabnem. Wówczas mama powiedziała do nas: to widocznie robota ojca. Ojciec widocznie żyje. Prawdopodobnie dowiedział się, że ten oficer nas śledzi i zapewne kazał jego sprzątnąć. I kiedy nas wieziono na Syberię, jechaliśmy właśnie z tą nadzieją, że ojciec jeszcze żyje. A przecież w tym czasie nasz ojciec nie żył już od roku.

Dziewiętnastego czerwca matka wróciła z szarwarku. Po prostu budowano linię Ribbentrop - Wołotow. W okolicy Nowogrodu było pięć pasm zgrupowań bunkrów, rozmieszczonych w odległości widoczności taktycznej. Matka brała udział przy budowie tego. Każda rodzina musiała dać jedną osobę do pracy. A ponieważ nikt z braci nie chciał czy też nie mógł pojechać za matką, to mama pojechała sama. Tam przebywała dwa tygodnie, ciężko pracując przy kopaniu tych bunkrów. Wróciła dziewiętnastego chyba o godzinie siedemnastej bardzo zmęczona. Koleżanka mamusi powiedziała: Janka, przyjechało NKWD, będzie wywózka, jesteście na liście. Uciekaj.

Mama na to odpowiedziała: tyle razy uciekałam, co będzie to będzie. Jestem tak zmęczona. Jest wszakże jedno: co będzie to będzie... niech się dzieje wola boska, nigdzie nie uciekam. O go-

drinie czwartej rano Śmudziestego czerwca 1943-go roku zapuka-  
no do drzwi sąsiada. Było to w piątek. I zapytano: Odyniec Janina  
zdieć żywiot? /czy Odyniec Janina tu mieszka?/. Gospodara po-  
wiedział: a, tutaj, w tym domu. Mama to słyszała i powiedziała do  
mnie: Kazik, przyszli po nas. Uciekaj.

Ja wówczas miałam 13 jedenasto lat. I uciekłem. Z pokoju,  
w którym spałem z matką i siostrą uciekłem do pokoju, w którym  
spala siostra cioteczna. Schowałam się do niej pod pierzynę.  
Nagle otworzyły się drzwi: Odyniec Kazimir zdieć żywiot?  
Mama odpowiadała za mnie: Kazik, wyjdź. I tak już nic z tego.  
Odyniec Kazimiera miał metr dwadzieścia wzrostu, był w kocz-  
linie z trąpcami się nogami. Wyprzedkiem. Wówczas jeden z Rosjan  
powiedział: "Nu, job twoju mat'-nie szuti". /"... nie żartuj"/.  
Był zdziwiony, że jestem dzieckiem. Myślał, że to powinien być  
ktoś dorosły i widząc dziecko sądził, że sobie z niego żartu-  
jemy. Kiedy sprawa się wyjaśniła, powiedział: "Odiewatsia wsie".

Nas przysiali aresztować: wojskowy NKWD-yata, mundurowy szere-  
gowiec i tajniak NKWD-yata w cywilu. Przyszli więc we trójkę.  
Ten tajniak był Żydem, chyba miejscowym. To jest bardzo charak-  
terystyczne, bo przecież oni tworzyli swój ustrój.

Najpierw nas zawieziono do siedziby NKWD w Jedwabnem. W tym  
samym budynku była też siedziba milicji. Był to budynek państwa  
Januszewskich, gdzie oni mieli swoją siedzibę. Tam nie byliśmy  
specjalnie pilnowani. Mama powiedziała do mnie: Kazik, wessa tu  
parę groszy, idź i kup chleba do Żyda, tu na rogu. Poszedłem, ku-  
piłem dwa bochenki chleba i przyszedłem z chlebem z powrotem.  
A po co ty przyszedłeś? Powiedziała mama do mnie. Bo mamusia  
posłała mnie po chleb - odpowiedziałem. A ja myślałam, że ty u-  
ciekniesz. Gdyby mi mama coś powiedziała, to bym uciekł. Ponieważ

widziałem, że mama bardzo chce, żebym ja uciekł, powiedziałem pilnującym, że chcę do ubikacji. Ubikacja stała na zapleczu wili NKWD. Idę do ubikacji, a za mną idzie oczywiście milicjant z karabinem. Dzwi nie były zamknięte a ja udaję, że zaistwiam się. Ale nie udało mi się prysnąć.

Następnie wywieźli nas do Łomży Tam stał już gotowy transport, do którego nas zakładowali. Ten NKWD-ysta, a którym moja matka tak hardo rozmawiała po rosyjsku powiedział: ja wiem, że ty myślisz, że ja jestem bandytą /tak mówił do matki/. Wojna z Niemcami wisi na włosku. Gdy szedłem na wojnę Fińską, a miałem wówczas osiemnaście lat - po raz ostatni widziałem się z matką. I nie wiem, czy już matkę zobaczę. Nie jestem taki, jak ty o mnie myślisz. Ja wykonuję swoje obowiązki.

Ten NKWD-ysta był na tyle uczciwy, że zezwolił matce na wzięcie maszyny. Nalegał na to, żeby wziąć na drogę trochę chleba, mąki czy kaszy. "Przecież ona jedzie na Syberię". Musi wziąć coś do jedzenia. I sam praktycznie wybierał najlepsze rzeczy z naszych zapasów. Były to akurat te rzeczy, które tam miały najlepszy zbyt. Była to więc przede wszystkim różnego rodzaju bielizna, obrusy i temu podobne rzeczy, które tam były poszukiwane.

Oficer wybrał nam miejsce. Powiedział, że na tej półce mama ma rozlokować się z rodziną. To było przy oknie. Miało to swoje znaczenie, bo to był czerwiec, były straszne upały. Na koniec on zaszalutował. Matka splunęła w jego stronę. On zaś zapłakał i poszedł.

Na dworcu w Łomży staliśmy dwie doby. Staliśmy cały piątek, noc z piątku na sobotę i noc z soboty na niedzielę. Nasz transport ruszył dwudziestego drugiego czerwca, w niedzielę - o czwartej rano. A w tym czasie, piętnaście minut po czwartej - Niemcy

przekroczyli granicę. Od Łomży było to trzynaście kilometrów w linii prostej. Pierwsze bombardowanie naszego transportu było w miejscowości Czarnowo Undy. Jest to stacja kolejowa. O godzinie siedemnastej byliśmy w Białymstoku. Białystok był bombardowany. Pytałem: "Czto eto?" - "Niczego, eto maniobery". A takie porządne bombardowanie było w Andrzejewiczach koło Wołkowyska. Jechaliśmy chyba tą trasą na Bobrowniki, Zubki, chyba i na Wołkowyska. A w Wołkowysku było masakryczne bombardowanie. Palili się dwa transporty. Jeden palił się z rannymi a drugi z sianem. A nas w tej scenerii wieźli. Tysiące swoich zostawili, a nas wieźli. Był to transport prowadzony przez NKWD. I tak było w owym czasie, w takiej sytuacji jechały wszystkie transporty. Na przykład rodzinę mojego kolegi z Bielska też aresztowano o czwartej rano, natychmiast włączyli do transportu i oni natychmiast ruszyli. Ich wojna została w Wińsku. A myśmy, nie wiem jakim przypadkiem - dwa dni czekali i ruszyliśmy w momencie wybuchu wojny.

Natomiast w sobotę była druga tura aresztowań, bo mam znajomą panią, która była aresztowana w Czerwonym Borze. Ona pochodziła z Wygody. Ona mówiła mi, że ja byłem wywieziony dwudziestego czerwca. Ja odpowiedziałem: nie, proszę panią. Ja byłem wywieziony dwudziestego pierwszego czerwca. Jako dowód podawałem panią, która pochodziła również z Wygody. Była to kierowniczką szkoły i nazywała się Jarsąbkowa. Okazało się, że nas aresztowali dwudziestego, a ruszyliśmy dwudziestego drugiego. A była druga tura aresztowań w sobotę - dwudziestego pierwszego. Ich natychmiast po aresztowaniu załadowano do transportu i oni natychmiast ruszyli i ich wojna została w okolicach Wińska. Tak więc oni byli później aresztowani ale za to wcześniej wyjechali.

W naszym transporcie mieliśmy powyżej czterdziestu wagonów. W każdym wagonie było około czterdziestu osób. W naszym wagonie na przykład były czterdzieści dwie osoby. Łatwo więc policzyć, że w transporcie było około tysiąca sześciuset osób. W naszym wagonie było dwóch mężczyzn: dziadek, który miał jakieś siedemdziesiąt dwa - cztery lata i ja - chłopak dwunastoletni. Resztę stanowili kobiety i dzieci.

I tutaj powstaje pytanie: jaki to był przekrój? Jak już wspominałem, dziesiątego lutego aresztowano leśników i ich rodziny. Chodziło o to, żeby pozbawić przewodników zgrupowania partyzanckie. Trzynastego kwietnia aresztowali przede wszystkim rodziny wojskowych i policjantów. A ostatni ten rzut, dwudziestego czerwca - to była "wsiakaja swołocz", jak to oni mówili.

W naszym transporcie byli przede wszystkim rolnicy. Oni nazywali ich kulakami, ale wśród więzionych byli i tacy, którzy mieli pięć hektarów ziemi. A to odbywało się na tej zasadzie, że Żyd czy też i Polak mówił Żydowi, że tam właśnie jest ktoś przeciw władzy radzieckiej. Chciał na przykład jego gospodarstwo. A więc na zasadzie donosu. Były to wyniki rozliczania się między mniejszościami narodowymi: między Ukraińcami a Polakami czy też między Białorusinami a Polakami.

Nas więzili dlatego, że ojciec był wojskowym. Dlaczego nie przyszali po nas trzynastego kwietnia, kiedy byliśmy uprzedzeni i nie nocowaliśmy w swoim domu? Bo do nas wówczas nikt nie przyszedł. No cóż, różne są sploty, zbiegły okoliczności.

Wywieziono nas do miejscowości Dżurun, Aktuibińskaja obłast w północno-wschodnim Kazachstanie. Przeprowadzono: północno-zachodni a nie wschodni. Jechaliśmy przez Mińsk i Smoleńsk. Za Smoleń-

skiem skręciliśmy w dół. Jechaliśmy przez Wiczurińsk i Saratow, gdzie przekraczaliśmy wołgę i do Dżurun. Tam, jak się okazało, byliśmy trzecim transportem. Dwa poprzedzające nas transporty były z trzynastego kwietnia 1940-go roku. Jeden był z Tarnopola a drugi ze Iwowa. Połowę naszego transportu zostawiono w Martuku, który leży przed Aktiubińskiem o sześćdziesiąt kilometrów. Nas natomiast zawieziono do Dżuruna. Tu nas wysadzono na dworcu towarowym na placu. No i tu sensacja, a dla dzieci atrakcja, bo przyjechały podwozy zaprzężone nie w konie lecz w osły albo byki /woły/ albo wielbłądy.

Zaczął się upokarzający wybór, dokonywany przez miejscowych. Wybierano rodziny, zasiadano w sądy. Chodziło o wybranie najlepszej siły roboczej.

Nas wywieziono do Deban de Kul... nazwa ta oznacza "cydlane jezioro". Trafiliśmy do sowchozu. Jak sączą, był to cztertnasty - siedemtnasty lipca. Tyle trwał nasza podróż. Może to był dziewtnasty lipca - trudno powiedzieć. w każdym razie nasz transport trwał około dwóch tygodni.

Tu wszystkich nas - łącznie z dziećmi - ja już byłem takim chłopcem, którego już można było wykorzystać do pracy - wszystkich nas zagoniono do robienia cegieł. Były to "samany". Po Kazachsku oznacza to dużą cegłę, przypominającą rozmiarami nasze pustaki z tym, że on był cały pełny. Mieszało się nogami tę glinę, do tego dodawało się sieczkę, słomę czy pieln, wkładano się do formy i poddawało suszeniu na słońcu.

Praca ta była o tyle ciężka, że taki pustak ważył około piętnastu kilogramów. A trzeba było go wynosić z dołu na zewnątrz. Męczące też było i to, że nogami to trzeba było ubijać. Nał nam stał Kazach z knutem i nas poganiał jak konie, bijąc. Czw ogóle



nie znał języka rosyjskiego.

Myślały o tym w szczeniwej sytuacji, że trzydziestego lipca, czyli w niecały miesiąc po naszym przyjeździe - doszło do podpisania umowy Sikorski - Majski. Pamiętam, jak raz miesiliśmy tę glinę, kiedy usłyszeliśmy sygnał radiowy. Bowiem na zewnątrz był wystawiony głośnik. Nazywaliśmy go "boczek". Był to czarny, papierowy głośnik. I nagle usłyszeliśmy głos słynnego spikiera Lewiatana: "wnimanije, wnimanije, goworit Moskwa". "Siusajtia waśnuju pieredaczu". Gdy była taka zapowiedź, to był to sygnał, że będzie podana ważna wiadomość. Po chwili ponownie zapowiedź "wnimanije, wnimanije.. i td. I po chwili podano, że dnia tego to a tego został podpisany pakt między rządem polskim Sikorskiego a rządem Związku Radzieckiego i że za chwilę, przed mikrofonami radia moskiewskiego wystąpi Sikorski. I w tym momencie usłyszeliśmy hymn polski. I my stanęliśmy na baczność. Zaplanowała konsternacja: co się stało? Grają przecież hymn polski. Po jakiejś chwili ten sam Kazach, który nas biał powiedział, że my teraz "druzja". Pray okazji zapowiedział, że już nas więcej bić nie będzie.

Dzięki tej umowie myśmy mogli poruszać się po terenie powiatu. A to już była duża rzecz. Jak już mówiłem, matka moja była już w Rosji w czasie rewolucji i w czasie tego wielkiego głodu. I matka wiedziała, że w Rosji - żeby przeżyć - nie wolno być na wsi. Bo na wsi nie ma co kraść. W Rosji trzeba się trzymać linii kolejowej. Tam bowiem można ukraść albo węgiel, albo kawałek drzewa, czy poszukać w zwałach żużlu węgla. Po prostu tu można było czymś zahandlować czy ukraść.

Kierując się tą zasadą matka powiedziała, że my musimy wrócić do Dżuruna, bo tylko tam jest szansa przeżycia. I matka u-

dała się do Dżuruna - osiemdziesiąt kilometrów - dostała się tam jakimiś podwodami. Tam dostała pracę, bo miała maszynę do szycia. Zgłosiła się do pracy jako krawcowa. Dostała się do Spółdzielni pracy, krawieckiej o nazwie "Krasnyj Transportnik". Po polski znaczy to "Czerwony transportowiec". I tam, przed zimą, czyli mniej więcej w październiku - myśmy przyjechali. Mama podjęła pracę jako krawcowa i szyla bieliznę dla wojska. Miała już pracę.

My nadal nie pracowaliśmy i w związku z tym dostawaliśmy tylko dwieście gramów chleba jako osoby będące na utrzymaniu. Pracownik, osoba pracujący - dostawał czterysta gramów chleba. Myśmy natomiast dostawali po dwieście. Ale trzeba było z czegoś żyć. To, co myśmy przywieźli z Polski - parę kilogramów kaszy i parę kilogramów maki - już się skończyło. Wprawdzie mama miała zawsze w zapasie kilogram czy dwa czegoś na czarną godzinę, ale tu trzeba było wyżywić rodzinę.

W związku z taką sytuacją i siostra starsza też musiała podjąć pracę i ja też musiałem pójść do pracy. Jak już wspominałem, w naszej miejscowości była spora grupa Polaków. Wydaje mi się, że w naszej miejscowości było około osmiuset Polaków. W samym tym Dżurunie, bo tam skierowano trzy transporty. Wprawdzie kolega, który do archiwum napisał swoje wspomnienia o tej miejscowości - Zbigniew Czernenka - przy okazji nawiązałem z nim kontakt, dowiedziałem się o nim przypadkowo z konkursu, że to o niego chodzi - otoż on pisze, że tam nas było dwustu. To jest nieściana informacja. wiadomo było na pewno, że tam były trzy transporty: z Tarnopola, ze Lwowa i z Łonży. Jeżeli z Łonży tam trafiło pół transportu - to jest osmiuset Polaków. Założmy, że z tego tylko jedna trzecia pozostała w Dżurunie a reszta poje-

chała po kołchozach - to z tych ośmiuset ta jedna trzecia to jest w granicach dwustu do dwustu pięćdziesięciu osób tylko z naszego transportu. I tyle mniej więcej z dwóch pozostałych transportów. Nawet, gdyby te transporty były tak samo niekompletne jak my. Z tych pobieżnych rachunków wynikałaby liczba większa.

Tamte w Rosji moja mama była "mężem zaufania" /żoną zaufania/ z ramienia ambasady kujbyszewskiej. Tu muszę wrócić nieco. Tamte dwa transporty - z Tarnopola i ze Lwowa to w dużym stopniu była inteligencja. W tej grupie było sporo Żydów wywiezionych ze Lwowa i z Tarnopola. W naszym transporcie parę rodzin żydowskich też było. Ale w naszym transporcie byli przede wszystkim biedacy, chłopci ze wsi Łomżyńskiej. I ich po prostu ta inteligencja lwowska i Żydzi ze Lwowa i Tarnopola poniewierali. Matka musiała po prostu tych ludzi wziąć w opiekę, bo ją o to prosili. "Niech się pani nami zaopiekuje". So było tak, że gdy napływały dostawy z "Unrry", to najlepsze rzeczy szły dla Lwowian i Tarnopolan z Łomżyniakom tylko to, co "spadło z nosa". Dostawały się nam tylko jakieś porwane ciuchy, dziurawe buty i tak dalej. I moja mama pilnowała tego, żeby to sprawiedliwie dzielić na wszystkich.

I przy okazji dzielenia tych rzeczy obika mi się o uszy informacja o ośmiuset Polakach w samym Dżuru. Zresztą matka miała dostęp do jakichś dokumentów z ambasady polskiej w Kujbyszewie.

W 1942-gim roku, z inicjatywy Żydów, zwłaszcza tych Lwowian, stworzona zostaje u nas - w Dżurun - polska spółdzielnia pracy, która nazywała się "Družba". Tu oto jest dokument z którego wynika, że matka moja, siostra moja i ja, którzy mieszkają

przy ulicy numer 50 -ulica Gowiecka /jest to dokument z ostat-  
nich lat/ .... i pracowali w przemysłowo - kooperatiwnuju artie-  
li družba.

Tu mam też dokument matki - oryginał - będący umową zawar-  
tą pomiędzy Janiną Odyniec a Polskim artelem "Družba".Z tej  
umowy wynika, że artel "Družba " wypożycza jedną maszynę noż-  
ną marki "Singer".Za to wypożyczenie moja mama zobowiązuje się  
płacić pięćdziesiąt rubli miesięcznie.Na tym dokumencie jest  
pieczętka po rosyjsku i po kazachsku.Podpisany jest председа-  
tel kałchoza - Ber.wprawdzie umowa mówi o 1943-cim roku,ale  
ja upieram się przy roku 1942-gim.Dlaczego ja upieram się przy  
roku 1942-gim?

W 1942-gim roku w marcu czy może nieco później - chyba jed-  
nak w marcu to musiało być - stworzono polską spółdzielnię  
pracy w której były:cech krawiecki,cech szewski,cech tryko-  
tarski,cech walonkarski,cech garbarski,cech stolarski,cech ze-  
garmistrzowski,cech fotograficzny.Było tu chyba dziesięć czy  
dwanaście cechów - całe rzemiosło właściwie.Chodziło tu o to,  
żeby jak największej liczbie Polaków dać zatrudnienie.Bo będąc  
zatrudnionym,niezależnie coś robił i ile wypracowywałś - dos-  
tawiałś cateringa gramów chleba.I to było jam najistotniejszą  
a nie pieniądze,które za pracę otrzymywałeś.

Pracowałem w cechu szewskim.Początkowo - przez trzy miesią-  
ce byłem uczniem.Nam zresztą wszyscy się uczyli,bo tam nie by-  
ło kwalifikowanych,przedwojennych szewców.Notabene moim nau-  
czycielem był przedwojenny policjant - pan Drozdowski.Był to  
dusza a nie człowiek.On mnie uczył życia.Jego żona również.

Pracowało nas tam ósmiu gówniaray w wieku od jedenastu do  
osiemnastu lat.Ale musiałeś pracować;początkowo jako család-

nik przez trzy miesiące, a następnie już jako majster - na własne konto. A to się zelowało stare buty, a to się robiło nowe buty, bo byłem nawet kamasznikiem, robiło się obcasy, robiło się damskie pantofle i tak dalej.

Jak mówiłem - chodziło o to, żeby jak najwięcej Polaków pracowało i mogło otrzymywać normę prądzielową czterystu gramów chleba. A moje zarobki wynosiły wówczas sto osiemdziesiąt rubli. A za te sto osiemdziesiąt rubli mogłem tam wówczas kupić półtora litra kaszy jaglanej. Tylko półtora litra.

No tak: ale ja półtora litra, matka - półtora litra, siostra - też półtora litra. No - to już jest coś. No oczywiście na cały miesiąc nie wystarczy tego jedzenia, ale to już było coś.

Mama w tej spółdzielni była kierowniczką cechów krawieckich. O tyle mamie lepiej się powodziło, że cech krawiecki szył bieliznę. Spodni u nich nie było. Byli kałesony i koszule. I tak na przykład mama dostawała normę, według której na kałesony i koszulę wojskową potrzeba trzy metry materiału. Ale wystarczyło, żeby mama inaczej przyłożyła miarę czy wykroje i zamiast trzech metrów na parę koszula i kałesony - wychodziło dwa metry i dziewięćdziesiąt osiem centymetrów. Jeśli produkcja szła w tysiące sztuk - to zawsze parę metrów materiału zostawało. Tak wygospodarowany materiał można było spieniężyć i za to coś kupić. Oczywiście trzeba było się tym dzielić. Ustalano więc, że dzisiaj ty bierziesz trzy metry, jutro ty a pojutrze jeszcze ktoś inny. I tak osoby pracujące mogły z czegoś żyć. Bo tak jednak było ta wspólnota. To nie było to, co się dzisiaj obserwuje za granicą, gdzie Polak stara się Polaka wykończyć. No cóż - takie było życie i trzeba było jakoś ludziom pomagać.

Siostra natomiast pracowała w cechów trykotarskim. Robiła na

drutach skarpetki dla wojska bądź rękawice z dwoma palcami. Chodziło o takie rękawice, które umożliwiałyby strzelanie. Tu też nie chodziło, żeby tu zarobić - bo i tu płacono groszem - tylko chodziło o ten chleb, o ten "pajok". Tu trzeba powiedzieć, że w 1943-cim roku ten przydział chleba dostawaliśmy raz na dwa tygodnie. To wcale nie znaczy, że w takiej sytuacji dostawało się przydział za całe dwa tygodnie. Było tak, że dzisiaj chleba nie przywieźli i na dzisiaj kartka przepadała. Jutro nie przywieźli chleba - kartka przepadała. Dopiero po dwóch tygodniach stoisz w kolejce i dostajesz kilo dwieście chleba. Jest to tak czerny chleb jak niektóre rodzaje ciasta. Kromka też była niewielka. Wzrostarczy gdy powiem, że to kilo dwieście chleba, nim przyszedłem ze sklepu, to odłamując zjadłem to. Był ten chleb bardzo kleisty.

Zjadłem ten cały chleb po drodze. Do domu przyszedłem z płacem. Zapytano mnie: czy dziś też chleba nie było? Był, ale ja zjadłem. Ten chleb tam był lepszy niż czekolada. O tym chlebie całowitek marzył.

U nas były dwa posiłki dziennie: rano i kolację. Pamiętam, że kiedyś była tylko mąka i kasza, kasza jaglana zwana "pszenc". Bo była też inna kasza jaglana, specjalnie preparowana.

Dlaczego upieram się, że artiel "Dziśba" powstał w 1942-gim roku. Nas w Dżuru była dość duża kolonia Polaków - około osiemset, jak ja oceniam - i oni mieli już jako tako zorganizowane życie. Tam stworzyliśmy polską szkołę. Mieliśmy polski dom dziecięcy, mieliśmy polski klub. No i mieliśmy polską "artiel", to jest bardzo ważne.

Ludzie mogli mieć zatrudnienie. Część młodzieży chodziła do szkoły. Ja na przykład przed wojną skończyłem cztery oddziały.

Za Sowietów skończyłem następne dwa oddziały. Tak więc wyjeżdżając do Rosji miałem ukończonych sześć oddziałów szkoły podstawowej. A tam powtarzałem sobie. Rano pracowaliśmy, a po obiedzie chodziliśmy do szkoły polskiej. Trzeba tu zdawać sobie sprawę z tego, że stwierdzenie w tym wypadku "szkoła polska" jest bardzo szerokie.

W jakimś pokoju naszej spółdzielni spotykaliśmy się na zajęcia szkolne po godzinach pracy. A uczyła mnie między innymi taka pani Marysia Bęgowska. Spotkałem ją w 1961-ym roku. Ona mieszka obecnie pod Wrocławiem. Uczyła mnie więc pani Marysia Bęgowska i kilku innych. To nie byli kwalifikowani nauczyciele. Ta pani jak raz była po maturze. Uczyła nas tak, jak to w szkole podstawowej - wszystkich.

A potem uczyła nas pani Konieczna. Oto tutaj mam na przykład oryginalne świadectwo szkolne. Jest ono wystawione w dwóch językach. Wystawione w 1946-ym roku zawiera stwierdzenie, że ja ukończyłem sześć klas szkoły powszechnej. Wystawione jest po rosyjsku z pieczętką, a obok po polsku.

Wracam do tego: dlaczego upieram się przy roku 1942-gim. Ponieważ mniej więcej od marca 1942-go roku do sierpnia tego samego roku - szły transporty z północy - z Buzukuku, korpusu generała Andersa - do Jangjulu, Buchary i Samarkandy. A ja wychodziłem na każdy transport w nadziei, że może spotkam ojca. "Czy jest ktoś z trzeciego batalionu KOP Мобача?" W ten sposób znalazłem tego pana Pflugrada, o którym już wspominałem. I on przyszedł do nas, zobaczył, w jakiej nędzy my żyjemy - to był marzec 1941/??-go roku /chodzi chyba o 1942-gi rok/. Widząc naszą sytuację - zapłakał i powiedział do mojej matki: pani Janino, gdybyśy jechali za granicę, to byśmy panią wzięli od ra-

zu. Bo ja miałem iść do junaków - jako syn pułku. A on miał załatwić wyjazd naszej rodzinie do armii gen Andersa. Ale on mówił: my nie wiemy, dokąd my jedziemy. Pani tutaj się już jakoś zżyła. Kamień leżący przy drodze też jakoś mchem obrasta. Gdy coś będę wiedział - do pani znak i ściagnę panią z rodziną. Tak się nie stało.

I łączność się urwała. Notabene spotkałem brata ciotecznej mojej matki - mojego wujka - który też obiecał nas ściągnąć i milczał. Po prostu nie dochodziły listy. Albo oni zapomnieli - Bóg raczy wiedzieć.

W tym czasie ja postanowiłem iść - mimo wszystko - do junaków. Chodziło o szkołę młodych junaków. Taka szkoła istniała przy garni generals Andersa. Powiedziałem więc mamie: mamo, ja chcę iść do junaków. Tu muszę dodać, że gdy te transporty szły, to z mojego warsztatu szewskiego: Olek Wróblewski /nie jestem pewien co do imienia/ i Jurek Kotareki; Wróblewski był spod Łomży, a Kotareki byłychyba spod Tarnopola. Był wówczas sierotą, bo zmarła mu matka. Był tam z młodszą siostrą. Był w moim wieku. Miał wówczas dwanaście lat. Oni właśnie byli w junakach. I oni napisali, że im tak się tam świetnie powodzi, przyjeżdżajcie. Akurat wtedy te transporty szły i powiedziałem do mamy: mamo - jadę do junaków. Mama nie chciała puścić mnie samego. Powiedziała, jak zginiemy - to wszyscy razem. Jak ocalejemy - to też razem wszyscy.

Wreszcie mama jakoś się złamała i powiedziała: Jedź syneczku. Poszedłem na dworzec, aby poszukać transportów jadących z Polakami. W pewnym momencie widzę, że jedzie transport junaków właśnie. Było tam kilka wagonów, oświetlonych i przybranych białą i czerwonymi flagami. Pierwszy wagon był osobowy i w nim był dowódca



Ten dowódca był w stopniu generała i nazywał się Marszałek. Nigdy później tego nazwiska nie spotkałem: generał Marszałek. Miałem na głowie czapkę - uszankę, bo przecież była zima. Miałem tam wyciętego własnoręcznie z pudełka po konserwach orła z koroną. Zameldowałem się: panie generale - junak Odyniec melduje się do transportu. On zaś poklepał mnie po ramieniu i powiedział: wal do czterdziestego drugiego wagonu. Wskoczyłem z generalskiego wagonu i w tym czasie pociąg ruszył. Ja, zamiast skakać do najbliższego wagonu - czekałem na wagon czterdziesty drugi. A rzecz się działa na stacji, gdzie nie było peronów. Wagony były wysokie a ja byłem "konus", miałem dopiero dwanaście lat.

Niepodołałem skoczyć. Jadący w wagonach krzyknęli mi, że za nimi jedzie ostatni transport ze sztabem Andersa, żeby czekał na nich. Mama powiedziała: co będzie to będzie - jedziemy wszyscy. Spakowaliśmy wszystkie nasze rzeczy - tych rzeczy było niewiele - włożyliśmy je do plecionego kosza i idziemy na dworzec, aby wyjechać.

Gdy nasi komżyniacy zobaczyli, że pani Odyńcowa z rodziną idzie na dworzec i chce wyjechać - to i my za nią - powiedzieli. No i nic nie można było zrobić. Na dworzec szła cała plegrzymka Polaków.

Następnego dnia rzeczywiście jechał ten transport. Rzeczywiście jechał generał Anders i jechał jego sztab. Orkiestra jakaś grała, "harmoszki", były śpiewy. Natomiast zawiadawca stacji, gdy zobaczył, ilu Polaków chce wyjechać - puścił transport przez stację na biegu - pociąg na stacji wcale się nie zatrzymał. Nie wiedzieliśmy, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny ten transport stał o siedem kilometrów dalej. Stał w gąsien

stepie. Gdybyśmy o tym wiedzieli, można tam było pójść piechotą. W ten sposób ja nie dostałem się do junaków. A był to już wrzesień 1942-go roku. W tym czasie my już od marca - kwietnia pracujemy w cechu szewców. Z kolegą, który nazywał się Józek Pałdasz - był nieco odłamie starszy, zarobiliśmy sobie nieco pieniędzy na drogę. On miał sześćdziesiąt rubli i ja tyle samo. I po prostu uciekliśmy z domu.

Najwyraźniej w Świecie, na gapę pojechaliśmy do Jagjulu. Podróż wynosiła w granicach półtora do dwóch tysięcy kilometrów. Jechaliśmy całe trzy doby. Jak się okazało - pło to, żeby się dowiedzieć, że przed trzema dniami ostatni transport odjechał. Dowiedzieliśmy się jednocześnie, że granica została już zamknięta. Stosunki polsko - radzieckie jeszcze istniały nadal. Zostały zerwane dopiero w kwietniu 1943-go roku po odkryciu masowych grobów w Katyniu. Ale granica była zdecydowanie zamknięta i nie było innego wyjścia - trzeba było wracać.

Gdybyśmy byli trochę starsi - to byśmy poszli na zieloną granicę, tak jak to zrobiło wielu naszych Polaków. Można było próbować do Afganistanu czy do Turcji. Ale byłem w takim wieku, że pierwszy ruch: wracać do cycka mamy.

Powrót trwało dług tygodnie. Kiedy wróciłem do swoich - było to pod koniec września - to już u nas śnieg padał. I w ten sposób nie było mi dane dostać się do Wojska Polskiego.

Zaczął się 1943-ci rok. Tragiczny był to rok. W tym roku obwieszywało w Rosji hasłami dla frontu - wsio dla pabiedy. Ograniczone wówczas paczki chleba, które teraz otrzymywaliśmy co dwa tygodnie. Głodówka była nieprzeciętna. Mieliśmy po dwa i nawet trzy pogrzeby Polaków z powodu śmierci głodowej. Na pobliskim cmentarzu zostawiliśmy około stu osiemdziesięciu grobów polskich. Ponieważ moja mama - jak już mówiłem - raz już była w Ros

sji, wiedziała już, co to jest głód i co trzeba robić, żeby się uratować. Myśmy jedli tylko dwa razy dziennie. Najczęściej była mamałyga. Była to zupa: na gorącą wodę rzucała była zwykła, razowa kasza czy mąka. Dobrze, jeżeli była okraszona. Był to po prostu szewski kleister. W tym wypadku chodziło, aby uzyskać odpowiednią masę żołądka po to, aby zapełnić żołądek.

Innym daniem były lepioszki. Była to mąka zagnieciona tak jak do makaronu - oczywiście bez jajka, no bo gdzie tu jajko nie znalazłem w Rosji smaku kartofli oraz smaku jajka. Tam tylko były kasza i mąka w różnych postaciach. Bywała też zacierka. Gdy było jakieś święto, to siostra dodawała na trzy litry łyżkę łoju, baraniego czy jakiegoś innego. Ale to tylko przy wielkim święcie.

Natomiast lepioszki to było zwykłe, makaronowe ciasto, tylko rozwałkowane, pieczone na blacie, bez tłuszczu. To popijało się herbatą bez cukru / cukier był też niessamowitym rarytasem: na przygladku albo na przydumku / rzadziej na przykusku. Z tego powodu następowały obrzęki głodowe. Następowало zaburzenie elektrolitowe żołądka. Ale jakoś przeżyliśmy. Matka zresztą miała do tego smykałkę. Czasem gdzieś sprzedawała metr materiału.

Do 1943-go roku Rosjanie się cofali. Ale na początku 1943-go roku odnieśli zwycięstwo pod Stalingradem. Nasza Kazaszka, która była niepiśmienna, nie wiedziała kto to jest Hitler ani dokładnie, czego dotyczy wojna, bo byliśmy na względnie głębokim zapleczu. W pewnym momencie zauważyłem, że nasza "marża" czyli nasza gospodyni płacze. Płacze i zawodzi "Hitler keput". I dalej płacze. Ona, kobieta, która nie wiedziała, kto to jest Hitler, płakała. Bo dla niej Hitler to był ktoś, kto pierwszy podniósł rękę na jej odwiecznego wroga: bolszewików. I Ona teraz płacze z tego powodu,

że Hitler został pokonany, a z tym przysła ostatnia nadzieja. Nadzieja na jej wyzwolenie, na wyzwolenie jej narodu.

Trudności aprowizacyjne i zaopatrzeniowe były ogromne, bo wszystko szło dla frontu. Pamiętam wigilię 1945-go roku. Moja siostra ugotowała właśnie kolację wigilijną. Ugotowała właśnie mazażkę. Każdy z nas miał taką swoją miszkę glinianą, polewaną. Każdy z nas miał dostać litr zupy z łyżką tłuszczu. Wróciłem do domu i zobaczyłem, że w naszym domu siedzą trzy panie. Jedną z siedzących pań była żona przedwojennego policjanta. Druga z pań była żoną przedwojennego starosty z Łomży /pomijam nazwisko/. Trzecią była chyba pani Olszewska - nie - pani Moniuszkowa. Ona z kolei była żoną "kułaka" miejscowego. Też mi tu wielki kułak.

Ja właśnie wróciłem z pracy. Chce mi się strasznie jeść, że aż mnie skręca. /Te trzy panie to panie: Mogilnicka - żona starosty łomżyńskiego, pani Wróblewska - żona przedownika policji z okolic Tarnopola oraz pani Moniuszkowa - żona bogatego rolnika z okolic Praytuł. / Ja nie mogę jeść, bo przecież trzeba poczęstować te panie. A my mamy przecież tylko swój przydział na wigilijną wieczerzę. Przysłała mama i nas podzieliła. Ja dostałem mniej podobnie jak i moja siostra. Ale każda pani przysłała z kociołkiem i własną łyżką. Zjadły i tak wylizują. Matka rozlała reaktę. Moja siostra bardzo się bała śmierci głodowej. Zaczęła wypominać mamie, że nie dba o nas i wszystko oddaje. Na to odezwała się pani Mogilnicka, żona starosty powiatowego z Łomży:

- pani Odyńcowa, niech się pani zlituje nad nami. Ja już trzy dni nic w ustach nie miałam. A dzisiaj jest przecież wigilia.

Mama odsyłała jej pół litra kaszy i pół litra maki.

Wówczas odezwała się pani Wróblewska, żona przedwojennego poli-

cjanta:pani Odyncowa - niech się pani zlituje. Moje dzieci u-  
mierają z głodu. Rzeczywiście, później jedno z tych dzieci zmar-  
ło ~~po śmierci~~. I jej także mama odsypała troszkę naszych zapasów.  
Wreszcie pani Moniuszkowa - mój mąż umiera z głodu. Jak się o-  
kazało, jej mąż zmarł z głodu w drugi dzień świąt. Mama i jej  
też coś odsypała.

Nam nie zostało nic z zapasów. Z trzech kilogramów kaszy i  
trzech kilogramów maki nie zostało nam nic. I tu się zaczął la-  
ment. "My poddychamy z głodu dlatego, że mamusia ratuje innych  
a nie dba o nas. To moja siostra tak rozpacziała. A tu zaraz były  
święta. I zamiast pogodnego nastorju cały czas lament, że my po-  
umieramy z głodu.

Nazajutrz, bardzo rano - bo w oknach było jeszcze ciemno -  
mama się ubrała i wyszła. Po chwili wróciła z dużym bochenkiem  
chleba. Bo na przeciw, po drugiej strony ulicy, w spółdzielni  
"Krasnyj Transport", tam, gdzie mama pracowała, była piekarnia.  
Tam się zwykle chleb "zabawiało" przez parkan. Gdy mama podesz-  
ła i poprosiła o chleb, zapytano ją, co ma do wymiany. Mama powie-  
działa, że metr materiału. No, odpowiedziano, to dam ci bochenek  
chleba, który po chwili przersucono przez parkan. No i dzięki  
temu mieliśmy na dwa dni świąt bochenek chleba. To były bardzo  
smutne święta.

Praca w artelu była prawdziwym dobrodziejstwem. Po pierwsze,  
otrzymywało się więcej chleba jako osoby pracujące. Poza tym by-  
ło też zajęcie dla wielu osób. To pozwalało nie myśleć o tym, co  
mnie jutro czeka i że właśnie już jutro mogę wyciągnąć nogi.  
Było to też materialne zabezpieczenie dla wielu rodzin oraz za-  
bezpieczenie do gotowania strawy. Myśmy byli w cholernie trud-  
nym terenie, wybranym jako miejsce zsyłek jeszcze za czasów car-

skich. Oni wiedzieli, gdzie należy ludzi wywozić. nie trzeba było wywozić aż za Bajkał. Myśmy mieszkali w miejscowości, gdzie dookoła był step. Równina jak na stole i do horyzontu nic. Od naszego miejsca można było przejść tysiąc kilometrów i nie zobaczyć ani człowieka i nie zobaczyć ani jednego drzewa.

Największym problemem był opał. Chodziliśmy po niego z siostrą dwa razy dziennie. Rano chodziliśmy po łajno krowie /kiziaki/. Z tego też robiło się cegły /już o tym była mowa/, które się suszyło na słońcu. Suszyło się to łajno na opał. Ale suszyć też trzeba było umieć. Jeżeli się suszyło na ziemi, to skarabeusze poroznosiły wszystko. Trzeba było to suszyć na ścianie domu. Oczywiście od strony południowej. Przed przystąpieniem do suszenia łajno to należało wymieszać ze słomą, czy czymś palnym. Łajno mieszane z gliną służyło do wyrabiania cegieł.

Po kiziaki chodziliśmy z siostrą o czwartej rano, jeszcze przed pracą. natomiast po powrocie z pracy - była to godzina czwarta lub piąta - chodziliśmy też z siostrą w step po burian czyli po piołun. Burian był dość wysoki. należało go ściąć motykami, on szybko usychał. Miał dość grube korzenie, nadające się do palenia. Tak pościnały piołun wiązało się. I taką wiązkę kilkukilogramową niosło się przez kilka kilometrów do domu. Wiązki ważyły tyle, ile można było udźwignąć. Siostra moja robiła to w ten sposób, że przywiązywała specjalnymi sanurami wiązkę do mnie i pomagała mi z tym wstać. Później ja jej pomagałem wstawać. I tak objuczeni ponad siły szliśmy do domu. A to mogło być trzy czy pięć kilometrów. I tak dzwigaliśmy codziennie, dwa razy.

Z tak smozzonego piołunu robiło się stertę. I z tego w ziemi brało się surowiec do palenia. Przecież w ziemi dwa razy nale-

Warto zagotować jedzenie. Najgorsze z tego było to, że z tego na-  
wzajemnego opaim na sterwie kradli ci Polacy. Polacy kradli  
tajno /kiszak/ oraz pielen ze sterty. Kiedy widziało się, że kto  
kradnie si mówiło się, Dlaczego pani bierze? - odpowiedź była  
najczęściej taka: ja też nie chcę umierać. Ale w tym czasie, gdy  
myśmy z siostrą zbierali - oni w tym czasie siedzieli sobie w  
domu. No, ale to jakoś można czy trzeba zrozumieć: to były walki  
o byt. I to było po prostu tragiczne.

Rok 1945-ci to był rok tragiczny. Ta tragedia została pogłę-  
biona w kwietniu tego roku, kiedy to kazano nam zdawać paszpor-  
ty. Jednocześnie pokazano przyjąć obywatelstwo radzieckie. Mat-  
ka moja uprzedzała wszystkich Polaków, żeby broń Boże - nie od-  
dawać żadnych dokumentów rosyjskich ani polskich przedwojen-  
nych. Bo jak przyjmiesz obywatelstwo rosyjskie - to do Polski  
nigdy już nie wyjedziemy.

Efekt tego był taki, że moją matkę - jako buntowniczkę - a-  
resztowano. Nie pamiętam już dokładnie ile - ale chyba ze dwa  
lub trzy dni mama siedziała. Była z mamą aresztowana cała gru-  
pa. W tej sytuacji odbyła się manifestacja Polaków na rzecz u-  
wolnienia aresztowanych. I rzeczywiście aresztowanych wypusz-  
czono na wolność.

Tu chcę powiedzieć, że Żydzi polscy, którzy byli w kierownic-  
wie naszej polonii /byli to Żydzi ze Lwowa i Tarnopola/, oni po-  
obsadkali wszystkie stanowiska, które dawały jakiekolwiek pro-  
wizje finansowe. U nas na przykład, kierownikiem naszej spół-  
dzielni /artelu/ był Żyd Bar. Jego żona była magazynierką. Jego  
brat był kierownikiem cechu zegarmistrzowskiego. Kierownikiem  
produkcji był Żyd. Kierownikiem cechu garbarskiego - gdzie wrz-  
na było handlować skórami - też był Żyd. Kierownikiem cechu ws-

lonkarskiego też był Żyd. Oni brzymali ten interes, ale z tego i myśmy też coś mieli. Ale na przykład żaden Żyd tam z głodu nie umarł, bo gmina żydowska dbała o niego. I oni, w razie potrzeby, araucali się na tego, kto był w potrzebie. Na przykład młynarzem był Żyd Guberman, wywieziony z Besarabii. Nie był to więc Żyd Polski, ale Żyd Besarabski. I on miał obowiązek dać co-dziennie każdemu Żydowi ileś mąki. I on, aby nie być posądzonym o kradzież, stwarzał możliwość wyniesienia tej mąki. I tak na przykład worek mąki on stawiał koło drzwi. I o określonej godzinie Żyd przychodził. A ten Żyd - Guberman akurat w tym czasie zagadywał kierownika młyna. I ten, który przyszedł, kradł worek mąki wystawiony koło drzwi.

Natomiast Polacy mogli tam kraść ~~to~~ tylko tak zwaną "szołuchę". Szołucha, to są otręby po zmieszeniu prosa. Gdy proso miele się na kaszę jaglaną, to zostają takie otręby ostre. I te otręby właśnie kraśli Polacy i z tego robili placki. To w całości przechodziło przez organizm człowieka niestrawione, bo błonnik w żołądku człowieka się nie trawi. Błonnik trawią tylko żołądki zwierząt kopytnych.

Z tego powodu dochodziło do tragedii. Dochodziło na przykład do wypadania odbytów. I tak na przykład mężczyzna siedział w ubikacji, trzymał kiszkę stolcową w ręku i gwoździem wydkubywał zawartość. Gdy dziś patrzę na to po latach jako lekarz, to odbieram to jako coś szokującego. A przecież to ja widziałem jako czternastoletni chłopak. Autentyk: wypadnięta odbytnica cała i prostnica, facet trzyma ją w ręku i wydkubuje, bo nie może wysrać się - za przeproszeniem. Bo to zapiekło się i powstało super zatwardzenie. Powstawały tak zwane kamienie kałowe, które trzeba było wydkubować gwoździem.



Jedliśmy też kradziwą krew z rzeźni. Gdy w rzeźni zarzynano owce, krew pomieszana z wełną ściekała do dołów. Sam kradłem taką krew. Najczęściej robiliśmy to w zimie. Robiliśmy podkowy pod parkanem na teren rzeźni i z takiego pojemnika wyrąbywałem się kawały. Tam obok krwi były różne zanieczyszczenia. Można było zachorować. Ale kto by tam o tym myślał i na to patrzył? Tam ludzie umierali na dur plemisty i dur brzuszny, a to są dwie trwałe dezynferie.

Infekcje jakieś były, ale myśmy tego z tym nie kojarzyli. Zresztą lepiej przeżyć jakąś infekcję niż umrzeć z głodu. Każdy bronił się przed tym jak mógł. Z tym, że jak ja przynosiłem taką krew, to matka to rozpuszczała i cedziła. Ale gdy poszedłem do sąsiadów, a ci poczęstowali mnie plackiem, który gdy ugryzłem - a tam pęk wełny był w środku.

Ale to jest tak: człowiek gdy jest głodny, to i kajno spod siebie zje. Człowiek wtedy nie wybiera. Głód jest czymś tak mekabrycznym, że to trudno sobie wyobrazić.

Gotowało się też rogi baranie. W tym względzie była specjalna technika: nacinało się pierścienie rogu, zdejmowało się to i gotowało. Następnie to się odpowiednio prostowało i otrzymywało - po odpowiednim prasowaniu - płytkę rogową. Za pomocą pilki robiło się z tego piękny, rogowy grzebień. Potem trzeba było to odpowiednio szlifować, żeby grzebień miał odpowiedni kształt i wygląd. Należy przy tym pamiętać, że i tę pilkę, za pomocą której wykonywało się grzebień - trzeba było wcześniej zrobić. Tu znowu trzeba było wykonywać przeróżne kombinacje: jak taką pilkę zrobić, fantastyczne historie. Ale za taki grzebień dostawało się czterdzieści rubli, a to już było coś. Te grzebienie robiliśmy w spółce. Kierował tym wspomniany już mój kolega - Zbyszek, który później przeszedł na własny rozrachunek. On był handla-

rzem. Trochę nas przy tym kantował, ale tu nie o to chodzi. I zaczął to sam robić, na własny rachunek. Bo w spółce nas pięciu to robiło.

Potem robiliśmy grzebień z aluminium, które się krało z wraków zestrzelonych samolotów. Albo też z transportów kolejowych. Bo tam na wagonach też czasem można było coś ukraść. Raz na przykład ukradło się siatkę miedzianą. Początkowo nie było wiadomo, ale po jakimś czasie okazało się, że to jest żółta siarka. To miało swoje znaczenie, bo tam podpalano ogień od krzesiwa. Tam pocierana zapalka to był rarytas, takiej tam nie dostałaś. Okazało się, że nasi Polacy potrafili zrobić zapalkę. Robiło się z drzewa lipowego lub brzoźowego kołeczki jak zapalki. Takie kołeczki maczało się w rozpuszczonej siarce. Do tego dodawało się jakiejś saletry czy coś. Na ten sposób wpadł taki młody chłopak. I takie zapalki przez potarcie zapalały się. W najgorszym wypadku można było zapalić od krzesiwa. To też był sposób.

Kradło się też miedź. Bo wszystko w życiu może się przydać. Raz w transporcie coś wieziono. Pewna pani idąc do bufetu z czajnikiem, bo zamierzała tam kupić supę. Przechodząc koło wagonów zawierających coś pod przykryciem - pomacała. I okazało się, że tam był cukier. Więc ona miała jakiś worek i wzięła kilka kilogramów tego cukru i zaniósła do swojego wagonu. Ale po drodze przypomniała, że ma jeszcze czajnik. Wróciła więc z powrotem i zaczęła wsypywać ten cukier do czajnika. W tamtych warunkach i w tamtych czasach był to rarytas. I ją przy tym pochwyciłem i zaprowadzono na milicję. Ludzie pytali, co się stało. Szybko rozszła się wieść, że tam na stacji stoi transport cukru. Cała czere-  
da rzuciła się na ten transport. Władze porządkowe i milicja

strzelały do Polaków, bo przecież oni rozkradali wojskowy transport. Ale na jakiś czas był cukier. A to innym razem udało się zdobyć jakąś makę. Różne rzeczy można było na stacji "dostać". To innym razem było drzewo, to znowu kradliśmy węgiel. W tym wypadku doszło kiedyś do takiej historii, że odczepiliśmy trzy ostatnie wagony węgla.

Byliśmy wówczas w takiej miejscowości, do której zjeżdżało się, a z drugiej strony było pod górkę. I myśmy za miastem, za semaforem odłączyli trzy wagony z węglem. Przedtem to wskakiwaliśmy na wagony i wyrzucaliśmy węgiel koło drogi, który potem zbieraliśmy. Teraz pomyśleliśmy, że nie trzeba się męczyć ze zbieraniem i odczepiliśmy trzy wagony z zamiarem, że je opróżnimy. Nie pomyśleliśmy o tym, że przecież będzie jechał inny pociąg. Tu mogło przecież dojść do tragedii. I doszłoby do tragedii, ale ktoś to zauważył. W tej sprawie prowadzona nawet dochodzenie mityczne, nawet mówiło się o aresztowaniach, ale jakoś się to rozeszło. No, ale człowiek bronił się jak mógł. Skoro nie było czym palić, to trzeba było coś robić.

Wzdłuż torów lub innych dróg wystawiano tak zwane "szczyty", plotki przeciwnieźne. Co jednego dnia je wystawia, to już drugiego dnia już ich nie ma.

Wszystko to, o czym teraz mówię jest dowodem na to o czym już mówiłem: Rosjanie wiedzieli, gdzie wywozić. U nas nie było lasów. Do rzeki takiej wielkości jak nasza Białka było siedem kilometrów. I nic więcej.

A teraz weźmy tych na przykład, którzy byli w Bijsku. On tam mieszkał koło lasu. On tam z lasu mógł przynieść chrust, on mógł przynieść grzyby, jagody czy orzechy. I mógł sobie - przy dobrej chęci jakiś zapas sobie na zimę zrobić. A u nas nie. Aby mieć fajno, musiałeś pięć kilometrów chodzić do stada krów.

Powszechna była "cynga" czyli sakorbut. Ja miałam wyjątkowo zęby. Mi do dzisiaj zęby się ruszają. Inna sprawa, że często już mam nieswoich. Ale zapalenie przyzębia i okostnej było częste. Gdybym mieszkał w lesie, to zaparzenie igliwia dawało witaminę "C". Tu takiej możliwości nie było.

Tam czosnek nie był w ogóle znany. Cebula była rarytasem. A mimo tego ludzie musieli jakoś żyć.

I tak myśmy przetrwali w jakiś sposób do roku 1945-go. Tu trzeba uświadomić sobie, że zerwane zostały stosunki z rządem polskim w Londynie, pojawia się Wanda Wasilewska i Związek Patriotów Polskich i nasi Żydzi zaczęli zapisywać się do Związku Patriotów Polaków. Można to różnie oceniać, można im zarzucić, że nie dbali o interes Polaków, ale przecież trzeba było o coś się opierać.

Różnie to można oceniać. Ale trzeba też powiedzieć, że dzięki działalności Związku Patriotów Polaków wyciągnięto z Rosji wielu Polaków. W Kazachstanie zostało do dziś pięćdziesiąt tysięcy Polaków. To są ci, którzy wówczas nie mogli wyjechać. Część Polaków nie mogła lub też i nie chciała wyjechać. Znam i taki wypadek, kiedy to pani policjantowa, ratując własne dzieci wyszła za mąż Kazacha - przedsiębiorcę kolchozu tylko dlatego, żeby dzieci nie zmarły z głodu. Później jej mąż znalazł się w armii generała Andersa. Ale ona musiała tu zostać jako miejscowa obywatelka i żona Kazacha. Ona z nami nie wróciła do kraju. Być może wróciła później.

Sprawa tak jak ta, to są takie życiowe sprawy, który trudno się dziwić. Pewien Polak "zmachał" tam dziecko Rosjance i musiał się z nią żenić. A był to młody chłopak. Ona powiedziała: albo on ją weźmie ze sobą albo on zostaje. A ponieważ ona była obywatelką rosyjską - nie mogła wracać z nami. On też został.

Nasz transport wyruszył stamtąd drugiego marca 1946-go roku. On zaś został. Ale nas dogonił w miejscowości Aktiubińsk. Jakoś się wykręcił i zgłosił się do transportu w Aktiubińsku. Dokumentów wprawdzie nie miał, ale był na liście. A kto by tam zresztą patrzył na dokumenty. Ja nie pamiętam, żeby w drodze powrotnej Rosjanie coś sprawdzali w naszym transporcie.

Prawdopodobnie to były listy zbiorowe. Prawdopodobnie ten Związek Patriotów Polskich przygotowywał jakieś wykazy. Moja mama była nie tylko mężem zaufania za czasów Sikorskiego, ale też należała do Związku Patriotów Polskich. Ktoś musiał zająć się sprawami nas, biednych komżyniaków.

Na przykład wspomniana pani Mogilnicka miała sporo złota. Ona na przykład jednemu z Żydów sprzedawała męski zegarek w podwójnej złotej kopercie za trzy kilo mąki. Po~~tem~~ ten Żyd - nota bene mój kolega - zegarmistrz, szlifował tę kopertę. Bo tam na kopercie był wygrawerowany napis - panu staroście - wdzięczny - taki to a taki. On ten napis ścierał. I za trzy kilo mąki, którą dostał od Żyda młynarza - kupił.

Moja mama powiedziała: pani Mogilnicka, dlaczego pani to sprzedaje? A pani Mogilnicka odpowiedziała: no jak to, przecież ja złota nie zjem. A mnie się chce jeść. A na to moja mama: to jeśli pani ma coś do sprzedania, to niech mi pani o tym powie. Ja z panią pójdę i sprzedam. I później moja mama jakiś jej pierścionek mama sprzedawała za szesnastcie kilogramów mąki. A pani Mogilnicka była szczerze zdumiona: Jezus Maria - to ja będę miała na kilka miesięcy jedzenia. A mama na to: no i widzi pani, po co pani tak poprzednie rzeczy sprzedawała?

Ta sama pani Mogilnicka z głodu polowała na psy. Tam były takie chaty. I ona taka biedna, wygłodniała i wynędzniała, zwabiała

psy do domu, zarzucała im pętle na szyje, miała hak do tego, i je wieszala. Taki pies, w obliczu śmierci - bronił się jak tylko mógł. A mimo to ona jego zdołała zabić. Wieszala, zabijała i gotowała. Ta pani ukradła nam na przykład kotkę, która w nocy okociła się i zostawiła małe. Była kotka i nagle nie ma kotku. Przychodzimy do pani Bogalnickiej, a tam z naszej kotki tylko nogi sterczą. Powiedzieliśmy jej: jeśli pani zjadła kotkę, to niech pani już zje i te małe. A dziękuję wam, dzieci, bo to bardzo smaczne.

Tego typu historie się zdarzały. Jeśli dodać do tego fakt, że w zimie mroź dochodził do pięćdziesięciu stopni - gdy spluniesz i słyszysz, jak spada ślina w postaci bryłki lodu, gdy uderze ktoś w tym czasie, to go nie zakopiesz. W przypadku takiego nieboszczyka - zawijałeś go w prześcieradło czy jakąś szmatę /jeśli je oczywiście miałaś/ i wykladałeś za okno - w śnieg. Trzeba było czekać do wiosny i dopiero takiego nieboszczyka przewoziło się na miejsce i grzebało. Ale przecież bywało, że w tym czasie, gdy nieboszczyk leżał do wiosny w oczekiwaniu na pogrzeb - odnajdowały go psy lub inne zwierzęta. Bywało więc tak, że na pochówek wzięto nieboszczyka już pogryzionego przez zwierzęta.

Swoje wspomnienia napisałem głównie po to, żeby moje dzieci wiedziały z grubszą, jak tam było. Nie pisałem tego na żaden konkurs. Było to wyrazem mojej potrzeby uzewnętrznienia moich przeżyć. Pisałem je w roku 1989-tych.

Taka scena: moja mama opiekowała się tymi sprawami. Przychodzi do mamy taka dziewczynka - może siedem może osiem lat - i mówi: proszę pani, czy może pani przyjąć do nas? Bo mamusia tak długo śpi i śpi a tu już się ciemno robi, a mamusia nam nic nie

zostawiła do jedzenia. Mama tam poszła. Ja również poszedłem z mamą. A to była żona policjanta, który miał dwoje dzieci. Zaszliśmy tam i widzieliśmy taką sytuację: leży ona koło kuchni. Na podłodze rozsypany popiół. Włosy - rude - rozrzucone jakby w kształcie aureoli. Ona jest już oczywiście nieżywa. A przy niej siedzi i próbujessać pierś dwulatnie dziecko. A matka już nie jest żywa.

W pobliżu był zorganizowany sierociniec polski, który był filią takiego wojewódzkiego domu dziecka. I te dzieci poszły do sierocińca. I te dzieci chyba przeżyły, przynajmniej doraźnie. Co się później stało - nie wiem.

To był ten 1943-ci rok, rok tragiczny. Następny - 1944-ty rok był lepszy, bo był lepszy urodzaj. No i front już się przesuwał, gdyż Niemcy byli w odwrocie. Najlepsze były lata 1942-gi i 1944-ty kiedy można było jeszcze odsapnąć. Myśmy bali w Kazachstanie na tak zwanym "głodnym stepie". Mówi się "Głodny step" w cudzysłowie dlatego, że na tym stepie nic nie uprawiano. Natomiast ziemia była bogata. Tam był less stepowy. To jest lepsze niż czarnoziem. Tam nie musiałeś orać. Wrzuciłeś ziarno i ono ci rosło. I to rosło bardzo szybko. Bo w zimie pokrywa śniegu w stepie wynosiła kilka metrów. I w ciągu dwóch tygodni ta pokrywa się topiła, a stepem płynęła rzeka wody. Jeśli w odpowiednim czasie zasiałeś - to rosło bardzo szybko, gonilo wprost.

Step na wiosnę jest przepiękny. Tulipany rosną jak w Holandii na plantacjach, tak tu w stepie. Jeśli w odpowiednim czasie rzuciłeś zboże - to ono ci też tak rosło. Potem, w bardzo krótkim czasie trzeba było zebrać, bo w przeciwnym razie to się wysypywało. Wyypywało się ziarno z kłosów. I dlatego oni do dziś nie potrafią zebrać tego, co im sama natura dała. I to jest ich całe

nieszczęście.

W 1944-tym roku było już trochę lepiej. Wiedzieliśmy też, że front sблиża się do granic Polski. Rosła nadzieja na powrót do Polski. W umowie repatriacyjnej było stwierdzenie, że w pierwszej kolejności będą repatriowani Polacy z rejonów Archangielska oraz z obwodu Aktiubińsk. Te właśnie dwa rejonu uważane były za najbardziej niebezpieczne i najtrudniejsze do przeżycia. W 1945-tym roku w marcu - kwietniu część naszych Polaków przewieziono na Ukrainę. Tam były lepsze warunki i było bliżej do kraju. Myśmy im ciągle tego zazdrościli. Nawet sporo osób pojechało.

W natomiast u nas była jeszcze dodatkowo tragiczna historia. Właśnie w roku 1945-tym w sierpniu lub we wrześniu wybuchła epidemia dżumy. Epidemia wybuchła w Aralsku, to było osiemset kilometrów od nas. Tam utworzono most powietrzny z Moskwą. Tam im zrzucano wapno i temu podobne środki. A myśmy mieszkali na trasie Moskwa - Taszkien - Akma - Ata. I tą trasą jedynie jeździły pociągi. Gdy przejeżdżały przez ten teren, to na długości stu pięćdziesięciu kilometrów miały zamalowane szyby i nie wolno było otwierać okien. Gdy przejeżdżano przez Aralsk, widziano na ulicach trupy ludzkie. Nikt tego nie zbierał.

Istniała całkiem realna obawa, że nasza miejscowość będzie objęta kwarantanną. Tego myśmy się bali najwięcej. Na szczęście wybuchła wczesna zima już na przełomie września i października i epidemia dalej się już nie rozprzestrzeniała. I nas w marcu 1946-go roku ewakuowano. To był ten moment wielkiego niebezpieczeństwa, że możemy nie wyjechać do Polski.

W 1945-cim roku odnalazła nas ta pani, która była z ojcem. Praczyła. Ją też wysłano do Rosji. Ona dowiedziała się przez



Czerwony Krzyż, że jej matka została wywieziona do Rosji i że przebywa z nami. I ona przyjechała do nas. Wówczas dowiedzieliśmy się od niej, że nasz ojciec nie żyje. Opowiedziała ze szczegółami. W tym momencie przyszła nadzieja, że ktoś tam na nas będzie czekał. Upadła nadzieja, że nam będzie lepiej po tej biedzie i nędzy. Od tam wiedzieliśmy, że ojca nie ma i że trzeba teraz liczyć tylko na siebie.

Wróciliśmy do kraju. Matka robi wszystko, żeby nam wszystkim dać wykształcenie oczywiście takie wykształcenie, na jakie ją było stać. Była moja starsza siostra i ja.

Moja starsza siostra kończy Liceum Pedagogiczne i w roku 1950-tym podejmuje pracę nauczycielki na wsi: najpierw w Wiźnie a następnie w Nowogrodzie. Później wyszła za mąż do Łonazy i tam do dziś przebywa. Już jest na emeryturze. Wyszła za mąż za starego skowca. Był to porucznik "blady", dowódca sgrupowania Ostrołęka - Myszyniec. On, mój szwagier, był aresztowany przez Niemców, uciekał z obozu. Następnie dostał się do niewoli ruskiej. Rosjanie go rozpoznają. Siedział w więzieniu gdzieś tam za Moskwą, gdzieś tam w Gorkach, w obozie dla skowców.

Kiedy wrócił, nawiązał kontakty z podziemiem i należał już do Win-u. Ujęli go UB-owcy. Dostał siedem lat więzienia. Wyszedł na wolność w 1951-ym roku, kiedy odsiedział połowę wyroku. Żyje do dziś, jest działaczem związku AK.

Siostra była nauczycielką, dziś jest na emeryturze. Ja natomiast .Ja natomiast starałem się dostać do wojska. Chciałem dostać się do wojskowej kompani sanitarnej. Było nas dwóch kandydatów: z łomżyńskiego i kolneńskiego. Na pięciu komisjach nas przyjęto czyli zakwalifikowano. Ale na ostatniej komisji - warszawskiej mnie odrzucono, kolegę też. Argument: ojciec by zawodo-

wym wojskowym przed wojną. A przecież w tym czasie ojciec już gryzł ziemię. Natomiast ojciec kolegą też był sierżantem, ale przodownikiem policji przed wojną. A to znaczyło to samo, co mój ojciec - starszy sierżant w KOP-ie. Ale jego ojciec przeżył wojnę. Do 1951-go roku oni handlowali. Jego ojciec parak się handlem obwoźnym. Kiedy jednak jego syn starał się o przyjęcie na akademię medycaną, to on rzucił handel obwoźny i poszedł do pracy jako robotnik w wojskowym przedsiębiorstwie budowlanym. On miał więc zaświadczenie, że był pochodzenia robotniczego. Bo jego ojciec był robotnikiem.

Ja natomiast w dokumentach musiałem pisać "inteligencja pracująca". Bo mój ojciec był podoficerem. A też był inteligent wielki, bo zdołał skończyć przed wojną /1914 -tym rokiem/ wszystkie trzy klasy. Bo tyle za cara można było skończyć. A kończył szkołę powszechną będąc już w wojsku. Są dokumenty ojca dowodzące, że ojciec skończył siedem klas w Modlinie. Ale ja nadal byłem inteligencja pracująca, chociaż mój ojciec już od dziesięciu lat gryzł ziemię.

I mnie do szkoły nie przyjęto. I ja w ostatnim dosłownie dniu składania dokumentów złożyłem papiery na Akademię Medyczną w Białymstoku. I tutaj dostałem się bez problemów. Jakoś tak się złożyło, że trochę pracowałem w ruchu studenckim - w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Byłem wice-prezesa, a potem prezesem. I ktoś napisał anonim: jak to jest, że obecnie dzieci robotnicze nie mogą dostać się na akademię medycaną, a Odyniec, którego ojciec był przed wojną wojskowym, jest obecnie przewodniczącym. Wówczas rektor dostał polecenie skreślenia mnie z listy studentów. Ja w tym czasie byłem już po trzecim roku. Na szczęście mądry rektor - Kialanowski - powiedział, że on tego nie zrobi.

hi, bo nie widzi podstaw. Był to odważny rektor. Ja wówczas, będąc studentem + pracowałem jako asystent w zakładzie histologii. Wówczas rektor powiedział: słuchaj, Kazik. Ja nie mogę z tobą przedłużyć umowy, ty nie możesz być asystentem. Ale ty musisz gdzieś pracować. Ja ci dam pracę w szpitalu. Miałem pracować jako cytolog w szpitalu. Był to wówczas wojewódzki Szpital Ginekologiczno - Położniczy, tak się to wówczas nazywało. I tak, dzięki niemu ja mogłem kończyć studia. I skończyłem studia. W 1955r jako absolwent pierwszego rocznika uzyskałem dyplom lekarza. W 1959-tym roku uzyskałem pierwszy stopień specjalizacji pracując na Akademii, a w 1963-cim roku - drugi stopień. W roku 1961-ym uzyskałem stopień doktora medycyny.

W roku 1963-cim podjąłem samodzielną pracę jako ordynator oddziału ginekologiczno - położniczego w Olecku. W 1966-tym roku wróciłem do Białegostoku. Byłem dyrektorem Wojewódzkiej Przychodni Specjalistycznej na Lenina /obecnie Branickiego/. Po tym przeszedłem na dyrektora tego szpitala tu, przy ulicy Warszawskiej. W roku 1980-tym wyjechałem na kontrakt do Libii. Wcześniej w roku 1971-ym zrobiłem inną specjalizację. Od roku jestem na emeryturze.

Kłopoty? Były chyba takie, jak wszystkich innych.

Notował: S. Sianko.